

SKLEP W PARYŻU

MÀXIM HUERTA



WYSTARCZY CHWILA,
BY ZACZAĆ WSZYSTKO OD NOWA



ROZDZIAŁ 1

Przez lata w moim życiu nic się nie działo. Miałam tylko jeden dość niecodzienny zwyczaj. Otóż w specjalnej walizce zbierałam ścinki materiału z każdej sukienki, jaką kiedykolwiek nosiłam. To absurdalne przywiązanie do ubrań towarzyszyło mi od najmłodszych lat i nie walczyłam z nim – wręcz przeciwnie, wkrótce ta walizka stała się nieodłączną częścią mnie. Kiedy ciotka kazała mi oddać jakąś sukienkę biednym, natychmiast sięgałam po nożyczki i wycinałam skrawek materiału – na tyle mały, aby nikt nie zauważył – a potem ukrywałam go w walizce wśród pozostałych ścinków. Z czasem zauważyłam, że noszę ubrania w coraz bardziej smutnych, zgaszonych barwach.

– Wciąż ubierasz się na szaro.

– To niebieski, ciociu.

– Mnie będziesz uczyła rozróżniać kolory?

– Ale to naprawdę niebieski.

– Jak ty się do mnie odzywasz! Taka młoda, a już bezczelna. Narzuć przynajmniej na siebie coś bardziej kobiecego. Ja w twoim wieku... No, chodźmy. Załóż tę apaszkę, którą dostałaś ode mnie na imieniny, może trochę ożywi

ten ponury strój. Wisi w przedpokoju. Wyglądasz, jakbyś nadal nosiła żałobę.

Mama zmarła na krótko przed moimi ósmymi urodziny. Ciężar opieki nade mną wzięła na siebie ciotka Brígida, jej siostra bliźniaczka. Już wtedy była od niej silna woń koniaku i perfum, i nic nie zmieniło się przez te dwadzieścia kilka lat. Postanowiła wychować mnie na swój obraz i podobieństwo – to ona decydowała, co i kiedy mam mówić, jak się ubierać. Nie mogło być mowy o jakichkolwiek odstępstwach od z góry ustalonego planu zajęć. Musiałam uczyć się pilnie, ale najtrudniejszym zadaniem okazało się znalezienie drogi ucieczki. Udało mi się to dzięki mojej niezwyklej umiejętności – wstrzymywania oddechu na dwie minuty. Mogłam zrobić to zupełnie niepostrzeżenie, nawet podczas eleganckich proszonych kolacji dla „ludzi z towarzystwa”.

Tak mijały lata.

Tak żyłam przez lata. Wstrzymywałam oddech. Aż do teraz.

Miasto budziło się do życia po długiej, wyjątkowo srogiej zimie. Śnieg stopniał, przymrozek odpuścił, a w powietrzu czuć było wiosnę i nadzieję na przyszłość. Ja zaś, wciąż samotna, żyłam – a raczej wegetowałam – w najwspanialszym mieszkaniu w Madrycie. Zajmowałam poddasze należące kiedyś do moich rodziców, pracowałam w odziedziczonej po nich fundacji, a popołudniami czytałam książki – wybrane ze względu na okładki – albo włóczyłam się po antykwariatach w poszukiwaniu starych pocztówek z Paryża. Ktoś mógłby uznać mnie za wyjątkowo zorganizowaną, uporządkowaną czy systematyczną, ale ja sama nazwałabym to raczej ostrożnością. W końcu, po wielu latach, sta-

łam się panią swojego czasu i mogłam gospodarować nim tak, jak mi się żywnie podobało. Samotność? Raczej samodzielność.

Tamtego wiosennego wieczoru wracałam z lekcji rysunku. Dwa razy w tygodniu – we wtorki i czwartki – uczęszczałam na trzygodzinne zajęcia wraz z czterema innymi kobietami. Takimi jak ja, a więc dysponującymi wystarczającą ilością czasu i pieniędzy, aby spędzać nudne popołudnia w oszklonej sali w dzielnicy Chamberí w towarzystwie osiemdziesięcioletniego malarza. Traktowałyśmy go nie tylko jak nauczyciela, ale i psychologa, zajęcia stanowiły formę terapii. Na początku szkicowałyśmy węglem owoce, butelki i wyszczerbione dzbanki, ale potem sięgnęłyśmy po ołówki o miękkich rysikach – bardziej elastyczne i dające większą możliwość ekspresji – i zaczęłyśmy stawiać bardziej odważne kreski. Wszystkie miałyśmy jednak więcej zapału niż umiejętności, szybko więc wróciłyśmy do szkiców węglem – cienie ukrywają wszelkie niedoskonałości. To samo można powiedzieć o życiu.

Węgiel pozwala rysować szybko i płynnie, a po nałożeniu wystarczy jeden ruch ręki, gąbki czy fiszorka, żeby naprawić każdy błąd. Iluzja kunsztu i sprawności. Też jak w życiu.

Zacząłyśmy właśnie pracować nad nudnymi aktami – przerysowywałyśmy je z grafik przechowywanych przez malarza w wąskich szufladach podzielonych na kategorie: rośliny, przedmioty, ludzie, pejzaże i martwe natury. Wszystkie chciałyśmy zacząć używać już kolorów, ale życie skazało nas na długie miesiące pracy tylko w czerni i bieli. Dwie z moich koleżanek zawsze przychodziły na zajęcia razem, pod ramię, z wyrazem twarzy właściwym osobom,

które przywykły do znoszenia wszelkich przeciwności losu, gotowe spędzić całe popołudnie na stołkach tak niewygodnych, że trzeba było siedzieć na nich sztywno, jakby się kij połąkło. Jedna miała na imię Rosa, druga – Mirabel, niemal identyczne, prawie nieodróżnialne w tych swoich sweterkach i w tym samym tempie pokonujące ostatnie stopnie prowadzące do pracowni. Rozmawiały cicho, głosami niemal niesłyszalnymi dla reszty, i wymieniały przy tym porozumiewawcze spojrzenia typowe dla kobiet – przyjaciółek czy krewnych – zmęczonych wszystkim, co w życiu przeszły. Trzecią uczestniczką zajęć była Isabel – prawdopodobnie moja rówieśniczka (nie wiem, czy już wspominałam, że zbliżałam się wówczas do czterdziestki). Jej subtelna obecność przywodziła na myśl motyla. Szczupła, sprawiała wrażenie kruchej, z wystającymi łokciami i kościstymi kolanami, zawsze uśmiechnięta, a zarazem melancholijna. Świetnie radziła sobie z węglem; stary malarz oceniał jej rysunki jako wybitne, a my nie czułyśmy ani grama zazdrości, bo przychodziłyśmy tam dla towarzystwa i zabicia czasu. Malowała delikatnie, niemal bezszelestnie przesuwając węglem po papierze, prześlizgiwała nim po kartce i właściwie nie pozostawiała śladu, bo kreśląc jedną ręką, czubkami palców drugiej jednocześnie rozmazywała kontury. Nie potrzebowała szkiców czy wersji próbnych, rysowała od razu niezwykle precyzyjnie. Mogę się założyć, że bez problemu odtworzyłyby kontury mapy Europy bez konieczności zaglądania do atlasu. Z jakiegoś powodu zawsze nazywałam ją Inés. „Dzień dobry, Inés. Podoba mi się twój rysunek”.

– Mam na imię Isabel.

– Przepraszam, znów się pomyliłam, Inés. To znaczy Isabel.

Bardzo przejmowałam się tą nagminną pomyłką, jak gdyby lada moment w drzwiach miała stanąć, gotując się ze złości, moja ciotka. Często popełniałam ten błąd i czasem chciałam nawet zapytać: „Czy mogę mówić do ciebie Inés?”, ale pomysł wydawał mi się absurdalny. Isabel zazwyczaj nie odzywała się podczas lekcji, podobnie jak czwarta uczestniczka, najstarsza z nas wszystkich Inmaculada. Jak sama mówiła, wdową była od zawsze: jej mąż zmarł wkrótce po ślubie, w domu. Pewnego dnia wróciła i zastała go śpiącego na kanapie. Nie chciała mu przeszkadzać, więc niczego nieświadoma spędziła kilka godzin z nieboszczykiem. Kiedy nadeszła pora kolacji, postanowiła w końcu obudzić męża, podeszła więc do niego i potrząsnęła za ramię. „Spadł na podłogę”, mówiła, zawsze gdy wypływał temat wdowieństwa. „Przyzwyczaiałam się już, tak mi się życie potoczyło. Czasem myślę, że urodziłam się jako wdowa; nie pamiętam, jak to jest mieć męża, po moim małżeństwie pozostało kilka zdjęć schowanych w szufladzie. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”, opowiadała bez emocji.

– Pamięta go pani? – zapytałam. Siedziałam wyprostowana na krześle i próbowałam narysować butelkę koniaku i dwa opróżnione przez malarza kieliszki.

– Pamiętam tylko, że był mężczyzną – odparła i wróciła do swojego rysunku. Poprowadziła długą, czarną kreskę na szkicu, który miała przed sobą, rzuciła kątem oka na martwą naturę i odwróciła się w moją stronę. – Był jakimś mężczyzną, i tyle, jego twarz należy już do innego świata. Dziwnie mi nawet myśleć o nim czy o naszym związku. Nie próbuję zapomnieć, nie robię tego umyślnie, po prostu to już minęło.

– Nie pamięta pani nawet zapachu jego perfum?

– Wszystko wyrzuciłam, z domu i z pamięci. A zresztą z nas dwojga tylko ja się perfumowałam.

Opowieść Inmaculady wyraźnie poruszyła Inés, Isabel, czy jak tam ona się zwała. Zmrużyła oczy, wyraz jej twarzy zmienił się i teraz malowało się na niej trochę przerysowane współczucie. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że słuchaczki przeżywały tę historię dużo bardziej niż sama narratorka – jej wspomnienia były tak odległe, że przez słowa nie przebijał nawet cień smutku. Gdzieś w tle unosiła się jednak niesłyszalna muzyka, coś jak ścieżka dźwiękowa do tej opowieści, wciąż przypominająca o śmierci, tragedii, samotności. Same. Byłyśmy same. Obrazy i my. Rosa, Maribel, Isabel, Inmaculada i ja.

Jeszcze chyba się nie przedstawiłam: mam na imię Teresa i kiedyś kochałam malarza imieniem Laurent.

– Tajemnica egzystencji leży w pewności siebie. Wyobraźcie sobie, że płótno to wasze życie...

To płótno bez wątpienia symbolizowało moje życie – czysta, biała powierzchnia, *tabula rasa* – a ja gorączkowo zastanawiałam się, czym ją wypełnić. Niektórzy po prostu malują, a dopiero potem tłumaczą wybór tematu, ale ja potrzebowałam uzasadnienia nawet dla decyzji o pionowym albo poziomym ustawieniu obrazu. Stary malarz z trudem poruszał się po pracowni o lasce, jak niewidomy szukający drogi, szybko się męczył i raz po raz musiał przystanąć, oprzeć się o siedzenie którejś z nas, żeby złapać oddech i móc dalej prowadzić zajęcia. Miał surowy wyraz twarzy i z początku zdawał się ponury i zamknięty w sobie, ale wrażenie to ginęło bez śladu, gdy tylko zaczynał mówić. Odwracał się wtedy tyłem i niewidzącym wzrokiem wpatrywał gdzieś w horyzont; prawdopodobnie nie chciał oglądać naszych bohomazów. Zanim wygłosił jakąś uwagę czy instrukcję, dwukrotnie klaskał, żeby przyciągnąć naszą uwagę. Wszystkie podnosiłyśmy wtedy głowy jak spłoszone gołębie. Zawsze poruszał mnie widok resztek jedzenia

wplątanych w jego brodę, ślad wiecznego wdowieństwa, symbol pustki pozostawionej przez samotność.

Przemawiał z pasją i zaangażowaniem. Innymi razy tłumaczył wszystko bardzo powoli, kiedy docierało do niego, że brak talentu i zapału nadrabiamy niewyczerpanymi zasobami wolnego czasu.

– Powinny panie bardziej wierzyć w swoje umiejętności. Należy rozcierać węgiel aż do uzyskania pożądanego odcienia szarości, poprawić pociągnięcie bawełnianą szmatką albo palcem.

Gestykulował przy tym żywo, prawą ręką kręcąc młynki w powietrzu.

– Białej kredy używamy tylko dla podkreślenia najjaśniejszych elementów rysunku. Na przykład tutaj, żeby w pełni oddać błyszczącą skórkę jabłka, musimy użyć odrobiny kredy, wydobyć ten blask. To jak zapalenie lampy w mroku. Ale światło zostawmy sobie na później.

Zostawmy światło na później.

Zostawmy światło na później.

Zostawmy światło na później...

Wszystkie zaczęły malować, oprócz mnie. To określenie wytrąciło mnie z równowagi: „zostawmy światło na później”. Trafiło wprost w moje lęki, kolejne zdanie do kolekcji zdominowanej dotychczas przez zakazy i nakazy ciotki. „Nie bądź taka ospała. Uczesz porządnie włosy, kucyk ma być gładki! Podnieś głowę, wyglądasz jak obdartus. Ubierz się schludnie. Nie wolno trzymać łokci na stole! W ogóle nie przypominasz matki...”

Ona, choć bliźniaczka, też wcale nie przypominała mojej matki.

Liczyła się tylko ona i jej stosunek do mnie. Bezustannie śledziła moje poczynania, musiała wiedzieć, co

robię i jak. Z czasem stałam się lustrem, które miało odbijać ją taką, jaka chciała być. Dorastałam zmuszona bezustannie grać, bo wzrok ciotki wciąż kierował się na mnie. Przyzwyczaiałam się do tego uczucia bierności i odrętwienia, niezdolna do bycia sobą, jeśli ona nie podejmowała wszystkich decyzji.

Patrzyła wzrokiem sfinksa. Niezwykłą przyjemność sprawiało jej przemawianie ze szczytu schodów – jedną ręką opierała się o balustradę i emanowała przy tym niepokojącym opanowaniem i gracją. Wówczas – jestem wszak tylko człowiekiem – oddałabym wszystko za jej sposób chodzenia. Ześlizgiwała się w dół z wdziękiem, sztywno wyprostowana, zdawała się unosić w powietrzu jak podczepiona do sufitu na niewidzialnych sznurkach.

– Czas na lekcję fortepianu, Tereso. No, już.

To oznaczało, że musiałam się przebrać, mocniej niż zwykle ściągnąć włosy do tyłu i pójść z nią do biblioteki. W olbrzymim pomieszczeniu roilo się od pajaków i tylko ich imponująca liczba przytłaczała bardziej niż obecność mojej ciotki. Wyjmowałam partytury z konsoli i rozkładałam je na stojaku.

– No, dalej, Tereso.

Fortepian wyczuwał mój strach, każdy klawisz dobrze znał drżenie moich palców. Ciotka siedziała w skórzanym fotelu ze złowieszczą miną, ubrana na czarno, i raz po raz obracała się tyłem, żeby ukradkiem dolać sobie koniak. Jej ramiona poruszały się jak u dyrygenta orkiestry, a głowa delikatnie spoczywała na oparciu. Wyprostowana, żeby nie zepsuć fryzury, przymykała oczy i pograżała się w drzemce.

Tak dorastałam. Dyrygowała mną, jakbym była jednym z utworów na fortepian. Do przesady podkreślała swoją

subtelność i kobiecość, których miałam się od niej uczyć. Dlatego też zapisałam się na lekcje rysunku.

– Z początku będziemy używać tylko czerni i odcieni szarości. Nie muszę chyba tłumaczyć, są panie bardzo pojętne. W przypadku pomyłki wystarczy rozetrzeć kreskę opuszką palca, na szaro zaciemnić odpowiedni obszar. No, proszę – nalegał. – Zacieramy wszystkie błędy.

Jak zareagowałby Laurent? Sam zupełnie inaczej mówił o kolorach, z charakterystycznym zdecydowaniem używał tylko wielkich słów. Bez odcieni i półtonów. Największą przyjemność odczuwałam dopiero teraz, po latach, kiedy myślałam o nim i tylu rzeczach, które tak późno w życiu zrozumiałam. Cóż, najlepiej było wrócić na ziemię, do lekcji rysunku, i nie zastanawiać się nad tym, co mogłoby się wydarzyć. Zaakceptować rzeczywistość. Akceptacja – to słowo tak wcześnie pojawia się w słowniku i tak trudno potem się go pozbyć.

„Zacieramy, zacieramy...”. Wszystkie automatycznie przytaknęłyśmy na te słowa, z głowami pochylonymi jak słoneczniki na polu w podmuchu wiatru.

– To żaden problem – mówił, rozcapierzając wykręczone przez artretyzm palce. – Drobne pomyłki można bez trudu naprawić. Jeśli zaś trafi się większa, wracamy do początku. Do początku. Po-cząt-ku.

A cóż to za logika? Nienawidzę zaczynać od nowa. Przez całe życie wolałam raczej zacierać błędy niż podrzeć kartkę i wrócić do początku. Pierwszy etap wydawał mi się zawsze najgorszy. Właściwie ta cecha chyba najlepiej mnie definiuje. Kiedy chodziłam do szkoły – jeszcze zanim zmarli rodzice i trafiłam do domu ciotki, z niekończącą się sztafetą śniadań, szkoły, lekcji fortepianu, mszy i gorączek

– nie znosiłam ciągle od nowa deklamować tabliczki mnożenia. Wolałam nauczyć się jej od początku do końca, stanąć przed tablicą i wyrecytować całość bez potknięcia, byle tylko nie zaczynać od nowa.

Początek, początek, początek. Nie, nie, nie.

„Musisz zacząć wiersz od początku”, powiedziała nauczycielka podczas jednej z tych ostatnich lekcji przed wakacjami, kiedy czas do końca czerwca ciągnie się niemiłosiernie.

Z zaskakującym spokojem odparłam:

– Nie.

Profesorka zamarła przy tablicy. Zaczęły trząść mi się nogi ze strachu przed reakcją ciotki Brígidy, gdyby dotarła do niej wieść o moim postępku. Na ustach nauczycielki pojawił się fałszywy uśmieszek i na głos, przy wszystkich, powiedziała: „Jesteś niemożliwa”. Byłam niemożliwa. Za niemożliwe uważałam podjęcie się jakiegokolwiek zadania, które wymagałoby cofnięcia się do początku. Okazuje się, że to cecha ani szczególnie dziwna, ani niespotykana. Wcale zresztą nie zależało mi na wyjątkowości czy niepospolitości. Wiele osób ogarnia paraliżujący strach przed rozpoczęciem dowolnego przedsięwzięcia, a lęk objawia się kołataniem serca, wysypką i nadmiernym poceniem, najczęściej zaś – niezdolnością wydobyć dźwięku. Uznałam więc, że milczenie nie jest w tym zestawie najgorsze.

– Za pomocą fiszorka można zatrzeć pomyłkę lub wydobyć jakiś szczegół. Bawcie się odcieniami, drogie panie, niech nieprawidłowe pociągnięcia węglem posłużą do nadania rysunkowi głębi. I jak? Jest pani zadowolona?

Mówił do mnie. Zdołałam wydusić z siebie jedynie kłamstwo.

– Podoba mi się.

– Nieprawda, wcale się pani nie podoba. Ale uparcie pracuje pani dalej, kreśli zapamiętałe węglem w jedną i drugą stronę. Proszę zacząć od nowa.

– Nie chcę marnować papieru.

Zaśmiał się serdecznie.

– Na co pani czeka? – zapytał najspokojniej na świecie. – Proszę podrzeć tę kartkę!

Czułam się bardzo nieswojo. Stał za moimi plecami i nalegał, żebym zaczęła od początku. Pod pozornym spokojem tego mężczyzny czaiła się potężna siła, zdolna powstrzymać atak armii idącej ławą na twierdzę obronną. „Cierpisz, nie wymazując pomyłek, ale w głębi serca najbardziej cierpisz, nigdy nie zaczynając”, mówił łagodnie. Powoli zbliżył się do mnie i wyczuł moje drżenie. Krew boleśnie pulsowała mi w skroniach. Wyciągnął rękę i potrząsnął kartką tuż przed moim nosem.

„Już!”.

– Czuję się upokorzona – powiedziałam.

– Nie. Czuje pani ulgę. Sama nie była pani w stanie tego zrobić.

Zamarłam. Powietrze smakowało inaczej, bo ktoś podjął za mnie decyzję – nie pierwszy raz. Prawdziwy cios zadał mi weterynarz, kiedy powiedział nam, że trzeba uśpić psa. Użycie słowa „uśpienie” w pewnym sensie rozmywało rzeczywistość – mieli go zabić i to mnie kazali podjąć decyzję. Weterynarz długo walczył o życie mojego pupila. Szorstkowłosy jamnik przetrwał i guza, i upadek z okna – poturbowany pies długo dochodził do siebie, bo choć upadek zamortyzowały liście, połamał tylne łapy. Gdy wieczorem

przychodził do mnie przed snem, już mnie nie poznał, ale musiało go to w jakiś sposób uspokajać, bo zasypiał u moich stóp, zawinięty w koc pozostawiony przez ciotkę pod łóżkiem. Oddałabym za niego życie. Kiedyś tryskał energią, biegiem pokonywaliśmy razem schody, a teraz patrzyłam, jak powoli gaśnie. Oboje graliśmy w tej farsie napisanej przez weterynarza i straciłam już resztki nadziei. Od tej pory moja rozpacz wysunęła się na pierwszy plan. Wychodziłam do szkoły z myślą, że po powrocie zastanę go martwego. Mały jamnik czekał jednak na mnie, wykończony bólem, wypatrując ostatecznego rozkazu. Gdyby zmarł śmiercią naturalną, znaczyłoby to, że wygrałam. Pamiętam, jak pewnego dnia po powrocie znalazłam go w korytarzu, wyciągniętego w kałuży moczu, i ucieszyłam się. Zdjęto ze mnie ciężar decyzji.

– Nie żyje! Wilczek zdechł!

Ciotka wyszła do przedpokoju, ofuknęła mnie za niepotrzebne krzyki i lekko szturchnęła go kijem od szczotki. Smród moczu przypominał odór śmierci. Moje nadzieje okazały się jednak płonne.

– Ciągnie już resztkami sił. Powinnaś skrócić biedakowi cierpienia – orzekła i obróciła się na pięcie.

Pies ciągle żył. Uciekłam do swojego pokoju. Kiedy jakiś czas później przyczołgał się do mnie, chciałam zabić go jednym litościwym ciosem, ale tylko płakałam, czując na sobie jego błagalne spojrzenie. W zmętniałych źrenicach malowała się zapowiedź śmierci, ledwo widział mnie przez zaćmę, a nadal chciał polizać, pocałować. Zdawał sobie chyba sprawę, że tylko ja mogłam położyć kres jego udrękom.

– Dosyc tego. Tak dłużej być nie może – stwierdziła stanowczo ciotka Brígida.

ROZDZIAŁ 3

Następnego dnia znalazłam na stole w bibliotece skórzaną smycz z wygrawerowanym na plakietce imieniem Wilczka. Ciotka wstała o świcie i zadzwoniła do weterynarza jeszcze przed śniadaniem – podjęła decyzję za mnie. Dowiedziałam się o odejściu psa po powrocie do domu. Nie odezwałam się ani słowem. Po raz drugi zostałam sierotą. I nie miałam w tej kwestii nic do powiedzenia.

Na szczęście tamtego wieczoru wyszłam z zajęć bez mojej wielkiej teczki – nie miałam ochoty pracować nad rysunkiem w domu. Zostawiłam ją razem z pracami innych uczennic w wykuszu, gdzie stary malarz trzymał wszystkie materiały, opartą o okrągły postument. Czasem jedna z nas musiała się na niego wdrapać, a pozostałe cierpiały niewysłowione męki, próbując sportretować koleżankę. Wystawianie się na widok publiczny – z wszystkimi kompleksami i świadomością, że nasze niedoskonałości, przeniesione na papier za pomocą węgla, mogą zostać wyolbrzymione – to najbardziej krępujący element tych zajęć. Pierwszy dzień pozowania upływał pod znakiem śmiechu, drugi – gniewu, trzeci – ciszy, czwartego zaś modelce z przymusu było już wszystko jedno: czy na rysunkach wyjdzie niedoskonała, gruba, brzydka, wstrętna, dziwaczna, czy po prostu zupełnie niepodobna do siebie.

To wszystko miało miejsce w galerii z oknami wykuszowymi, pod kopułą budynku, w którym odbywały się zajęcia. Poniżej, po obu stronach chodnika, rosły olbrzymie platan – przy najlżejszym podmuchu wiatru ich liście

szeleściły, a gałęzie gwałtownie uderzały o balkony. Wykuszowa pracownia starego malarza stanowiła kapryśne wykończenie narożnika secesyjnego budynku o siedmiu piętrach. Galerię wieńczyła – niczym latarnia morska w środku miasta – ośmiokątna kopuła pokryta błyszczącymi łupkami, wsparta na kolumnach oddzielających od siebie wysokie okna. Dzięki nim do pomieszczenia przez cały dzień wpadało światło – od świtu aż do chwili, gdy słońce chowało się za górami. Z pracowni rozciągał się piękny, ale i zatrważający widok. Powietrze w sali przesiąknięte było ciężkim zapachem farb olejnych i terpentyny. Tę ostatnią malarz przechowywał w puszkach na niskim stoliku pod południowym oknem i lubiłam zerkać w ich stronę. To samo robiłam kiedyś z toaletką ciotki pod jej nieobecność – próbowałam znaleźć cokolwiek, co uczyniłoby tę kobietę choć trochę ludzką. Oprócz napoczętej butelki koniaku znalazłam pachnący kwiatami różaniec. Sama udzielała sobie błogosławieństwa.

Jej osobowość skrywały nowenny do świętej patronki naszej rodziny i odurzająca woń perfum wydobywająca się z każdej szuflady, spośród płaszczy, apaszek i rękawiczek. Znałam każdy cal tych szaf, komód i półek. Z sercem w gardle zanurzałam się w jej pokoju w poszukiwaniu tajemnicy kryjącej się za podłym charakterem i potęgującą się z wiekiem surowością. Wsuwałam ręce pomiędzy stosy porządnie poskładanych prześcieradeł i czułam dudnienie w klatce piersiowej. Musiałam podjąć to ryzyko. Kiedy już myślałam, że trafiłam na jakiś stary bilet, okazywał się świętym obrazkiem. Pod palcami wyczułam paciorki – to znowu różaniec.

W pokoju znajdowało się stare zwierciadło powleczone zniszczoną warstwą rtęci. Odbijało rzeczywistość zdeformowaną, fantasmagoryczną. Natykałam się na nie zaraz przy wejściu, stało tam wiernie jak stróż i donosiciel. Za-

wsze przechodziły mnie ciarki. Na co dzień ciotka używała małego lusterka – ustawiała je pod kątem na złocistym stoliku o marmurowych nogach, żeby, jak sama mówiła, „podkreślić onyksową czerń oczu”. Mnie przypominały raczej karaluchy.

Myślę, że nigdy nie przyglądała się swojemu ciału w całości.

Z całych sił starałam się przezwyciężyć strach, kiedy wysuwałam jedną z szuflad na biżuterię. Pośpiesz się, poganiałam się w myślach. Otwierałam kolejne przegródki i patrzyłam na wyściełane aksamitem pudełeczka z pierścionkami i kolczykami należącymi niegdyś do mojej matki. Ciotka wszystko sobie przywłaszczyła.

Szybciej.

Zdecydowanym gestem sięgnęłam po kolczyki, które zawsze nosiła mama. W domu panowała podejrzana cisza i bałam się, że lada chwila zjawi się ciotka. Kiedy tylko dotknęłam klejnotów, odprężyłam się, jak gdybym poczuła na ramieniu uspokajającą dłoń matki. Serce zaczęło mi walić jak szalone, a oczy wypełniły się łzami. Dokładnie pamiętałam datę jej śmierci, tak bolesną... A nawet godzinę. I słowa ciotki: „Musisz być dzielna i nie płakać, kiedy przyjdzie rodzina”. Rodzina!

Rzuciłam się jej na szyję, szukając pocieszenia. Po chwili powiedziała: „Pognieciesz mi sukienkę”. Odsunęła mnie, odsunęłam się i resztę dnia spędziłam w swoim pokoju, odosobniona, zamknięta, zanurzona w ciemności i ciszy, przytłoczona rzeczywistością. Raz po raz wycierałam oczy, żeby nie dostrzegła moich łez. Co jakiś czas wchodziła do pokoju, zapalała lampę, obrzucała mnie wzrokiem i z powrotem gasiła światło. Serce zamarło mi w piersi – po raz pierwszy, ale nie ostatni.

Powykręcane tuby z farbami olejnymi stary malarz przechowywał bez ładu i składu w wiecznie otwartej skrzyni, tak uwalanej, jak gdyby służyła również za paletę. Każda próba wyjęcia jednego ze zlepionych w brudną całość opakowań groziła poplamieniem. Uwielbiałam egzotyczne nazwy kolorów farb marki Charvin, takie jak sjena palona, ugier, indygo, róż indyjski, ultramaryna, cyklamen, ochra, błękit królewski, umbra, marengo, palisander, eozyna...

– Mam już dość czerni i bieli. Potrzebuję kolorów – powiedziałam mu pewnego wieczoru po wyjściu pozostałych uczestniczek zajęć.

– Na kolory trzeba zasłużyć, wiedzieć, jak poprawnie ich używać. Umiejętne mieszanie kolorów to duża sztuka. Wszystko w swoim czasie. Zaczniemy od barw podstawowych, potem dodamy biel, a następnie brązy, błękity, zielone, pomarańcze... – Nagle zatrzymał się i wskazał mi wiszący na jednym z filarów niewielki obraz, o wymiarach może dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów. – Wie pani, kto go namalował?

W milczeniu przyjrzałam się płótnu, przykuta do podłogi, nieruchoma jak drapieżnik czyhający na ofiarę.

– Pańskie dziecko? – odparłam.

Zmarszczył brwi.

– Nie, pani Tereso. To mój pierwszy obraz. Miałem jakieś czternaście lat i wszystko, co niezbędne malarzowi.

– Jest piękny.

– Dziękuję za komplement, ale to nieprawda. Miałem wszystko to, co niezbędne, ale nie oznacza to jeszcze, że umiałem malować. To zły obraz. Nie chodzi tylko o perspektywę czy kompozycję, ale przede wszystkim o fatalny dobór kolorów. Nie współgrają.

**Teresa odważyła się i poszła za swoim marzeniem.
Pofrunęła. Jak kiedyś Alice...
Czy znalazła miłość?
Czy odnalazła kolory w swym życiu?**

Teresa nie potrafiła podrzeć kiepskiego szkicu i zacząć rysować od nowa.
Potrzebowała kolorów, ale – wiedząc na pozór dobre, a już na pewno
dostatnie życie – nie dostrzegала ich wokół siebie.

Wystarczył drobny impuls, wypatrzony wśród staroci szyld sklepu w jej
wymarzonym Paryżu, by wyrzuciła jak podartą kartkę swoje madryckie
życie i sięgnęła po kolejną, czystą – w Paryżu, w opuszczonym sklepie,
którego dawna właścicielka okazała się pięknoscią lat 20. XX wieku,
legendarnych czasów bohemy, jazzu i niekończącego się przyjęcia.
Teresa poszła śladem pięknej Alice, modelki słynnych malarzy, obiektu
westchnień Modiglianiego, podopiecznej cesarzowej mody Coco Chanel.

Co połączyło te dwie kobiety, oddalone od siebie o lata,
których drogi tak zaskakująco się splatały?

Czy była to magia? Zrządzenie losu? Przypadek? Przeznaczenie?
A może – by być szczęśliwą – wystarczy dostrzegać znaki,
słuchać głosu intuicji?



TO HISTORIA NIEMAL PRAWDZIWA, ZAPEWNIĄ AUTOR.
SKLEP W PARYŻU PRZY RUE PONT LOUIS-PHILIPPE 10
I SKLEP W PARYŻU KROK PO KROKU, STRONA PO STRONIE
ODSLANIAJĄ SWOJE TAJEMNICE.

cena 34,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788364 700538